

Zabójcze oszczędności

26 lipca 2015

Sporą naiwnością byłoby widzieć Greków wyłącznie w roli ofiary dramatu. Dlatego, obserwując jednostronne przedstawianie kryzysu greckiego w polskich mediach, dobrze byłoby nie popadać w drugą skrajność i nie tworzyć teorii, według których Bogu ducha winni Grecy zostali znienacka zaatakowani przez bezwzględną Trojkę. Nie ulega wątpliwości, że swoim beztroskim postępowaniem wyraźnie przyczynili się do załamania gospodarki, choć oczywiście nie był to jedyny powód kryzysu. Obecnie głównym problemem jest jednak to, że lekarstwo serwowane przez Komisję Europejską, Europejski Bank Centralny i Międzynarodowy Fundusz Walutowy okazało się gorsze od samej choroby.

Co ciekawe i co wiele mówi o poziomie polskiej debaty publicznej, najczęściej przywoływane przez naszych komentatorów przewinienia Greków są, delikatnie mówiąc, dość wątpliwe. Słynna grecka rozrzutność i wydatki na „rozbuchany socjal” na tle danych makroekonomicznych nie wyglądają już tak jednoznacznie. W 2007 roku (czyli ostatnim przed tamtejszą recesją) ogólne wydatki sektora finansów publicznych wyniosły tam 46,9 proc. PKB, więc nie odstawały wcale od reszty strefy euro, w której wskaźnik ten przeciętnie oscylował na poziomie 45,2 proc. Szczodrość sektora publicznego była w tym okresie dużo większa chociażby we Francji (52,2 proc. PKB) czy Austrii (49,1 proc.), nie mówiąc już o Szwecji czy Danii, które do strefy euro nie należą. Jak widać, nawet wyższy od greckiego poziom wydatków publicznych nie musi prowadzić do katastrofy, a w niektórych krajach północnej Europy jest wręcz fundamentem trwałego rozwoju. Oczywiście te same pieniądze można wydawać rozsądnie lub bezmyślnie – i zapewne na miejscu byłby postulat bardziej skutecznego pożytkowania środków publicznych przez Greków. Jednak polityka oparta na takim postulacie miałaby zupełnie inny charakter niż strategia, którą podpowiadają

Grekom zachodnie instytucje, czyli „zaciskanie pasa”.

Kolejnym często przywoływanym zarzutem wobec Greków jest ich rzekome lenistwo. To zarzut bez mała zdumiewający z uwagi na fakt, że Grecy są narodem pracującym niemal najwięcej na świecie. Przeciętny Grek przepracowuje aż 2042 godziny w roku, co daje drugie miejsce wśród krajów OECD. Przy tym wyniku praca statystycznego Niemca wygląda wręcz mizernie (1371 godzin). Oczywiście ktoś mógłby stwierdzić, całkiem słusznie zresztą, że sama liczba godzin pracy niewiele mówi o jej efektach. Jest w tym sporo prawdy – można przecież przesiedzieć w pracy cały dzień i nic w tym czasie nie zrobić. Jednak uznanie za szczególnie leniwego takiego narodu, który pracuje prawie najdłużej spośród państw rozwiniętych, po prostu nie ma sensu. Żeby zupełnie zaprzepaścić taką liczbę godzin pracy, całe społeczeństwo musiałoby permanentnie bimbać, a chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie uzna, że w gospodarce rynkowej, opierającej się w przeważającej mierze na nastawionych na zysk prywatnych firmach, mogłoby uchować się społeczeństwo złożone prawie w całości z nałogowych bumelantów. Grecy nie są rzecz jasna herosami pracy, jednak nazywanie ich leniwymi jest absurdalne.

Słaba efektywność pracy jest bez wątpienia jednym z dwóch głównych zarzutów, które można postawić Grekom. W 2008 r. produktywność grecka wynosiła 22,2 euro na godzinę, czym zdecydowanie odstawała od przeciętnej wartości dla strefy euro (35,9). Wchodzenie do jednego obszaru walutowego przy tak ogromnych różnicach w produktywności jest bardzo niebezpieczne, szczególnie dla kraju, który nie zamierza konkurować niskimi kosztami. Niska efektywność pracy niewątpliwie jest jednym z tych czynników, z powodu których Grecy cierpią najbardziej. Jednak teorie mówiące, że niska wydajność jest wynikiem małego przykładania się do pracy, są zupełnie oderwane od rzeczywistości. We współczesnym świecie za wydajność odpowiada przede wszystkim poziom technologiczny przedsiębiorstw, a nie podejście do pracy. Doskonale powinni

wiedzieć o tym Polacy, którzy doświadczają tego podczas wyjazdów do pracy za granicę. Wystarczy posłuchać opowieści naszych emigrantów o Norwegach potrafiących pół dnia malować jedną ścianę, którą Polak ku zdumieniu miejscowych pomaluje lepiej w godzinę, albo o Francuzach, pracujących niczym w zwolnionym tempie, w piątki wychodzących o 12, a do obiadu w pracy pijących wino. A mimo to zarówno Norwedzy jak i Francuzi produktywnością biją nas na głowę – po prostu dzięki wysoko rozwiniętym przedsiębiorstwom i zaawansowanej organizacji pracy nie muszą wypruwać sobie żył. Za niską efektywność odpowiada więc zacofanie technologiczne firm, a nie lenistwo. A wyjściem z takiej sytuacji jest skok technologiczny i wzrost innowacyjności, a nie dokręcanie ludziom śruby.

Drugim zarzutem, który należy postawić Grecji, jest niska dyscyplina podatkowa. Unikanie podatków stało się tam wręcz sportem narodowym, na co jednym z dowodów jest tamtejsza eksplozja samozatrudnienia. Grecja stała się wręcz europejskim zagłębieniem osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą. W UE pod tym względem jest zupełnie bezkonkurencyjna – według OECD aż 37 proc. tamtejszej siły roboczej to samozatrudnieni. Drugie w kolejności Włochy mają ten wskaźnik na poziomie aż 12 pkt. proc. mniejszym. Nawiasem mówiąc, w czołówce są głównie kryzysowe kraje grupy PIGS oraz... Polska. Oczywiście taka forma działalności zarobkowej jest w tym kraju – tak jak i nad Wisłą – po prostu sposobem na płacenie niższych podatków, co w komplecie z innymi „pomysłowymi” rozwiązaniami optymalizacyjnymi doprowadziło do bardzo dużej dziury w finansach publicznych. O ile w wydatkach tego sektora Grecja trochę przewyższała średnią strefy euro, to w jego dochodach jest wyraźnie poniżej. Ogólne dochody sektora finansów publicznych w ostatnim, przedkryzysowym roku (2007) wyniosły tylko 40,2 proc. PKB przy średniej dla eurozony wynoszącej 44,7 proc. Jeśli ktoś chce mieć rozbudowany system świadczeń socjalnych oraz zabezpieczenia społecznego taki jak na zachodzie UE, to nie może mieć dochodów publicznych na poziomie krajów Europy Środkowo-

Wschodniej. Porządne państwo dobrobytu wymaga dyscypliny podatkowej, której na Peloponezie nie było. Musiało się to skończyć wysokim długiem publicznym, który przed rozpoczęciem akcji „ratunkowej” wynosił, bagatela, ok. 120 proc. PKB. Jest to zresztą zjawisko idące pod prąd dominującej wykładni wolnorynkowej, która wiezie prym w krytyce Grecji. Widać przecież, że Grecy cierpią nie z powodu lenistwa, lecz z powodu swojej... przedsiębiorczości (masowe zakładanie firm) oraz dzięki wychwalanej w Polsce „zaradności” (optymalizacja podatkowa). Jeszcze bardziej zdumiewa, że ta krytyka Greków tak dobrze przyjęła się w Polsce, chociaż pod względem obu cech bardzo Greków przypominamy.

Problemy były więc głównie dwa – niska produktywność oraz wysoki dług publiczny w stosunku do PKB. Relację zadłużenia do PKB najprościej można zmniejszyć poprzez zwiększenie produktu krajowego. Natomiast zwiększenia wydajności można dokonać głównie dzięki skokowi technologicznemu. Spełnienie obu celów wymaga sporych wydatków – wzrost PKB wymaga zarówno inwestycji, jak i konsumpcji, natomiast rozwój technologiczny głównie nakładów na inwestycje (ale za to ogromnych). Nie da się zwiększyć PKB dławiąc popyt wewnętrzny. Nie da się dokonać skoku technologicznego drastycznie obcinając wydatki. To po prostu niemożliwe. Tymczasem dokładnie taką strategię Trojka narzuciła Grecji. Wyjściem Grecji z opisanego dołka miało być „zaciskanie pasa” na wszelkich możliwych polach – od popytu prywatnego (zmniejszanie płacy minimalnej, zwolnienia i obniżki płac w jednostkach publicznych, cięcia emerytur) do sektora publicznego (cięcia jego wydatków). Siłą rzeczy musiało to doprowadzić do pogłębienia lub przynajmniej utrwalenia jej problemów. PKB nie ma prawa rosnąć, gdy konsumpcja wewnętrzna drastycznie spada. Żaden przedsiębiorca nie zaryzykuje nakładów na inwestycje w lepszy i bardziej wydajny sprzęt, gdy nie ma najmniejszej nawet pewności, czy sprzeda swoje towary lub usługi, a nawet ma pewność, że ich nie sprzeda. To wydaje się oczywiste, jednak biurokraci z UE i MFW z jakiegoś tajemniczego powodu twierdzili inaczej.

Konsekwencje tego były, jak przystało na Grecję, iście dramatyczne.

Polityka „austerity” narzucona Grecji przez Trojkę, która miała przykładowo zacisnąć pas na jej chęlnym ciele, doprowadziła przede wszystkim do załamania PKB. W latach poprzedzających „pomoc” Trojki dla Grecji recesja była jeszcze umiarkowana – w roku 2008 wyniosła -0,8 proc. PKB, a w 2009 -4,4 proc. (w tym roku recesja np. w Estonii wyniosła -14,7 proc.). Od czasu, gdy Trojka zaczęła wdrażać „pakiety pomocowe”, recesja skoczyła dwukrotnie – w 2011 wyniosła -8,9 proc., a w 2012 r. -6,6. „Odchudzanie” sektora publicznego sprowadzało się do fali zwolnień, przez co bezrobocie skoczyło do ponad 25 proc., a odzyskiwanie konkurencyjności oparło się głównie na cięciach wynagrodzeń (np. obniżka płacy minimalnej), co skończyło się tym, że w ostatnich latach płace realne w Grecji spadały o 5 proc. rocznie. Jak w takich warunkach budować prawdziwą konkurencyjność (technologiczną), nie do końca wiadomo. Nic więc dziwnego, że główny problem Grecji, czyli niska wydajność, jeszcze się pogłębił – produktywność spadła z 22,2 euro na godzinę w 2008 r. do 20,2 euro w roku 2013. Inaczej mówiąc, strategia Trojki, która powinna w pierwszej kolejności zadbać o wzrost greckiej produktywności, doprowadziła do jej spadku. Rzekomi Samarytanie z KE, EBC i MFW, zamiast wyciągnąć Grecję za uszy z jej kłopotów, jeszcze ją dobili. Co najlepsze, zrobili to przeznaczając na ten cel setki miliardów euro.

Od 2010 r. PKB Grecji spadł o 25 proc. W takiej sytuacji nie da się zmniejszać problemu długu publicznego. Nawet gdy wartość długu się zmniejsza, to szybko spadający produkt krajowy powoduje, że relacja zadłużenia do PKB rośnie, a więc staje się on coraz trudniejszy do obsługi. Nic więc dziwnego, że wszystkie pakiety pomocowe skończyły się tym, że dług publiczny Grecji z ok. 120 proc. PKB wywindowano w błyskawicznym tempie do poziomu niemal 180 proc. PKB. Spadek produktu krajowego drastycznie wpłynął także na pozostałe

wskaźniki. Pomimo poczynienia wielkich oszczędności, wydatki sektora finansów publicznych w stosunku do produktu krajowego wzrosły aż do 60 proc. PKB w 2013 r., a więc skoczyły aż o kilkanaście punktów procentowych. Co najgorsze, terapia wstrząsowa zafundowana Grekom nie przyniosła nawet specjalnych widoków na poprawę. W 2014 r. „wzrost” PKB wyniósł marne 0,8 proc., chociaż po tak wielkich spadkach baza początkowa była na bardzo niskim poziomie – z reguły po bardzo głębokiej recesji odbicie wynosi czasem nawet kilkanaście procent, więc ten niecały jeden trudno nawet nazwać wzrostem.

Setki miliardów euro publicznych środków z tytułu „pakietów pomocowych” trafiły w przeważającej części do prywatnych wierzycieli Grecji, czyli głównie do banków zachodniej Europy. Ogromna publiczna pomoc przyniosła więc uspokojenie sektorowi finansowemu, jednak problem Grecji nie tylko pozostał, ale jeszcze się pogłębił. Tymczasem można było to przeprowadzić inaczej – długów wcale nie trzeba było umarzać, ale jedynie prolongować ich spłatę na dostatecznie długi okres. A pomoc dla Grecji, i to nawet mniejszej wysokości, skierować do realnej gospodarki (np. w postaci specjalnego funduszu unijnego), przeznaczając ją na nakłady inwestycyjne, by wzrosła wydajność greckich przedsiębiorstw. Uzyskana dzięki temu wartość dodana mogłaby zostać przeznaczona na spłatę zadłużenia, a nabyte bardziej efektywne środki produkcji zostałyby Grekom na lata. Oczywiście nie byłoby pewności, że to zadziała. Ale po pierwsze byłoby taniej, a po drugie UE mogłaby powiedzieć, że cokolwiek dla Grecji zrobiła. Bo na chwilę obecną tak naprawdę nie pomogła jej w żaden sposób. Tymczasem solidarność, na której podobno oparta jest Zjednoczona Europa, wymaga pomagania także tym, którzy wpadli w kłopoty w wyniku własnych błędów.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl